

# Zarys biografii

## Zygmunt Zahorski

Urodziłem się 30 kwietnia 1914 r. we wsi Szubina (w pobliżu Kutna i Krośniewic). Ojciec – Stanisław Zahorski, który był tam nauczycielem szkoły podstawowej, zmarł 18 stycznia 1921 r. Ponieważ mieszkanie służbowe należało przekazać następcy, rodzina (matka i młodsza siostra) została bez domu i środków do życia. Starania o rentę wdowią rozbiły się o przeszkody biurokratyczne (a na adwokatów nie było pieniędzy) i trwały siedem lat. Matka była za słaba do pracy fizycznej, a do pracy urzędniczej nie miała wykształcenia. Reszta oszczędności zniknęła w ówczesnej błyskawicznej dewaluacji. W zaistniałej sytuacji matka do roku 1928 korzystała z mieszkania i pomocy kolejno trzech ze swych czterech braci. W lecie 1923 r. i w latach 1924–1926 pracowała jako służąca w majątku „Zameczek” koło Chodcza.

Do szkoły podstawowej chodziłem w latach 1924–1929 w Chodczu, Krośniewicach i Pułtusk. Od początku nauki szkolnej zauważyłem, że mam zamiłowanie i zdolności do matematyki, której uczyłem się jako samouk ponad program, a nawet stawiałem już różne problemy, niektóre z nich udało mi się rozwiązać. Były to jednak „odkrycia” dawno znane, pierwszy wynik naprawdę nowy uzyskałem dopiero w wieku lat 23 na ostatnim roku studiów matematycznych.

We wrześniu 1928 r. zdałem egzamin i zostałem przyjęty do piątej klasy męskiego gimnazjum humanistycznego im. ks. Piotra Skargi w Pułtusk. W tym okresie mieszkałem u brata matki w leśniczówce na Popławach, 2 km od Pułtusza, następnie przeniósłem się na stancję w Pułtusk w roku 1931. Utrzymywałem się tam z korepetycji, których mi nie brakowało ze względu na to, że cieszyłem się opinią najlepszego matematyka w gimnazjum.

W roku 1932 skończyłem gimnazjum i we wrześniu tego roku, bez przygotowania, zdałem z odznaczeniem wstępny egzamin konkursowy na Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej. Do studiowania zamierzałem obrać – po zaliczeniu dwóch lat studiów – najbardziej zmatematyzowaną sekcję, którą w tym czasie była sekcja lotnicza. Odznaczonych po egzaminie wstępnym było czterech na 190 przyjętych i na ok. 360 zdających. Obierając studia techniczne nie kierowałem się względami zarobkowymi w przyszłości, lecz niechęcią do zawodu nauczyciela szkoły średniej. Jednakże

---

\* Jest to przedruk obszernych fragmentów wspomnień profesora Zygmunta Zahorskiego, napisanych przez niego z okazji Jubileuszu 70-lecia urodzin i pierwotnie wydrukowanych w *Zeszytach Naukowych Politechniki Śląskiej*, ser. *Matematyka-Fizyka* **48** (1986), 7–25.

właśnie w roku 1932 znacznie podniesiono czesne na wyższych uczelniach, a studenci pierwszego roku nie mieli prawa do odroczeń czesnego ani do stypendiów państwowych. W ten sposób, a nie przez podniesienie wymagań egzaminacyjnych, ówczesne władze przeciwdziałały „nadprodukcji inteligencji”. Czesne na pierwszym roku politechniki wynosiło 320 zł i płatne było w dwóch ratach. Do tego dochodziła opłata za egzamin wstępny w kwocie 40 zł. Była to dla mnie zawrotna kwota. Renta mojej matki w owym czasie wynosiła z początku 80 zł miesięcznie, a później została zmniejszona, w miarę przekraczania 16 lat przez dzieci i w ramach ogólnych obniżek kryzysowo-oszczędnościowych płac i emerytur. Pod koniec, w roku 1938, kiedy matka zmarła, wynosiła już tylko 30 zł miesięcznie. Sytuacja na rynku korepetycji była wówczas dla mnie dużo gorsza niż w czasach szkoły średniej w Pułtusku. W Warszawie nikt mnie nie znał, a studentów poszukujących korepetycji – jako zarobku – było tysiące, dlatego na pierwszym i drugim roku studiów korepetycji w ogóle nie udzielałem. Z odłożonych pieniędzy, zaledwie 300 zł, starczyło na egzamin wstępny, pierwszą ratę czesnego oraz zapłacenie za pierwszy miesiąc 75 zł za mieszkanie z wyżywieniem w bursie ZNP. Stypendium ZNP, w kwocie 75 zł miesięcznie za pobyt w tej bursie (tj. zwolnienie od płacenia za pobyt), nie zostało mi przyznane. Moje podanie o to stypendium opiniował kierownik bursy, niechętny mi i zawistny nauczyciel podstawówki. Oświadczyłem więc owemu kierownikowi, że będę mieszkał nie płacąc, gdyż moim zdaniem stypendium mi się należało. Pogrożka wyrzucenia siłą była nierealna, bo woźny musiałby się mocować z moimi 32 kolegami, a zakaz wstępu do stołówki nie działał, gdyż kelnerki dawały moją porcję kolegom, a ci przynosili mi ją do pokoju. Nie udało się też kierownikowi wciągnąć mnie w awanturę, w której kierownik miałby świadka, a student nie. Tego typu incydent byłby dla kierownika pretekstem do usunięcia studenta, tym razem na mocy wyroku sądowego. Po dramatycznych staraniach o przesunięcie choćby o miesiąc terminu płatności drugiej raty czesnego, a następnie po rozpaczliwym szukaniu pieniędzy na zapłacenie tej wierzytelności, zdobyłem wymagane 160 zł z jednorazowego zasiłku starostwa w Kutnie, który był właśnie w tej wysokości. Ta resztówka budżetowa starostwa uchroniła odznaczonego – na egzaminach wstępnych – studenta od wyrzucenia ze studiów za nieuiszczenie czesnego.

Mieszkać, i to ze darmo, w bursie ZNP nie można było jednak przez całe studia. Na wakacje wyprowadzali się bowiem z niej wszyscy, w tym i ci koledzy, którzy chronili niezamożnego studenta, gdyż w tym okresie czasu przeprowadzano remonty i po wakacjach składano od nowa podania o przyjęcie do bursy, które, zwłaszcza dla mieszkańców z ubiegłego roku, opiniował kierownik. Oczywiście szkoda było czasu na pisanie takiego podania, niewykonalne też było wprowadzenie się na zajęte miejsce. Drugi rok studiów rozpocząłem z 20 zł w kieszeni. Moja sytuacja materialna się wprawdzie nieco poprawiła, gdyż mając dużo dobrych i bardzo dobrych ocen z zimowej i czerwcowej sesji egzaminacyjnej dostałem całkowite odroczenie czesnego, tj. kwoty 290 zł, na „po studiach”, ale w dalszym ciągu nie miałem środków do życia – nie dostałem nawet połówkowego stypendium w wysokości 60 zł miesięcznie. W owym czasie otrzymanie obu tych pomocy na Politechnice Warszawskiej było praktycznie niemożliwe, choć być może jakieś protekcyjne wyjątki się zdarzały. Nie tylko urzędnicy kwestury, ale i władze uczelni traktowały studentów jak „natrętne muchy”, od których należało się opędzać, bo, o zgrozo, zachciało im się studiować i to bez pieniędzy. Oczywiście lepiej było dostać połowę stypendium – bez odroczenia czesnego, które wtedy przy oszczędnym życiu można było zapłacić. Złożyłem też podanie o sty-

pendium miejskie miasta Warszawy, 75 zł/mies., ale data rozpatrywania tych podań przez władze miejskie nie była zgodna z datą początku roku studiów. Posiadane na jesienną sesję egzaminacyjną 20 zł rozdzieliłem tak: 10 zł na mieszkanie, tzw. kątem w kuchni u pewnego fryzjera, co dawało mi też prawo do herbaty trzy razy dziennie; drugie 10 zł przeznaczyłem na suchy chleb w ciągu miesiąca. Po miesiącu właścicielka mieszkania orzekła, że na ogół inni biorę 15 zł za kąta, ale w owym czasie nie miałem już nawet 10 zł. Wtedy postanowiłem zamieszkać w domu noclegowym dla bezdomnych przy ul. Jagiellońskiej na Pradze. W domu tym można było przebywać od godz. 21 do 6 rano, w dzień dom ten musiał być pusty. Bezdomni spali na gołych drewnianych pryczach, na gazetach położonych na podłodze czy też na posadzce – gdy prycze były zajęte. Często spano nawet na schodach – z parteru na pierwsze piętro – gdy zimno wypędziło nocujących pod mostami i w parkach. To „mieszkanie” w brudzie i przenikliwym zimnie trwało przez około 6 tygodni (w listopadzie i grudniu 1933 r.).

W początku grudnia 1933 r. dostałem od Bratniaka Politechniki, ogólnostudenckiej organizacji samopomocowej, kilkunastozłotowe stypendium mieszkaniowe w małym domu akademickim przy ul. Ceglanej 1 (duży dom na pl. Narutowicza Ministerstwo Oświaty Bratniakom odebrało) i zamieszkałem wreszcie w ludzkich warunkach. Nieco wcześniej dostałem również od Bratniaka stypendium obiadowe, 75-groszowe bloczki na obiady w studenckiej stołówce przy ul. Koszykowej, w tym czasie pomogli mi też byli współlokatorzy z bursy i dr J. Stawiński.

W lutym 1934 r. magistrat Warszawy zawiadomił mnie o przyznaniu mi stypendium miejskiego, i to płatnego od września 1933 r. wstecz. Wtedy zrzekłem się stypendiów obiadowego i mieszkaniowego, mogłem też znaczną część pieniędzy posłać matce mieszkającej w Krośniewicach. Stypendium miejskie miało jednak tę wadę, że było jednoroczne. W następnym roku ta pozycja budżetu miejskiego już nie istniała, więc nie dostał go nikt ze studentów.

Przy okazji należy sprostować mylną informację o mnie w książce wspomnieniowej „Czas przed burzą”, Nasza Księgarnia, Warszawa 1973, strony 118, 163, 164, 170, 215, napisanej przez mego nieco starszego kolegę z Politechniki Warszawskiej. Autorem jej jest dr inż. S. Minorski. W książce tej, miejscami humorystycznej, niektóre fakty są prawdziwe, ale wydarzenie najważniejsze, to o domu noclegowym, zostało przez autora opuszczone. Pisał ją bowiem wiele lat po wojnie, więc widocznie zawiodła go pamięć. Dodatkowo miejscami mylił mnie z innymi osobami, a znaczna część tych informacji jest błędna. Rzeczą poglądów subiektywnych jej autora jest jego nieco negatywny stosunek do wielkiego filozofa i wzorowego człowieka, prof. T. Kotarbińskiego, ale informacja o stypendiach na matematyce w Uniwersytecie Warszawskim, więc na terenie nieznanym bezpośrednio autorowi, natomiast znanym mnie, jest całkowicie fałszywa.

Autor tej książki zmarł w czerwcu 1981 r. i nie wiadomo, czy będą dalsze jej wydania, wobec czego przytoczyłem wyżej częściowe sprostowanie informacji podanych w tej książce, z braku innej możliwości polemizowania z opisem autora.

Przedmioty czysto techniczne, takie jak części maszyn czy odlewnictwo, nie interesowały mnie, natomiast wykłady z matematyki, zwłaszcza niektórych jej działów, które budziły moje zainteresowanie, na Politechnice Warszawskiej były za skromne – bardzo mało algebry, zupełny brak teorii liczb i teorii mnogości, przedmiotów istotnie wówczas inżynierom niepotrzebnych.

Kierując się własnymi zainteresowaniami, w jesieni 1934 r., kiedy zmiana ustawy pozwoliła na studia na dwóch uczelniach, za zgodą rektorów zapisałem się na matematykę na Uniwersytecie Warszawskim. Będąc studentem Uniwersytetu nie opuszczałem jeszcze Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej, na którym miałem zaliczone niemal całe pierwsze dwa lata studiów, łącznie z częścią trzymiesięcznej praktyki fabrycznej. Na Uniwersytecie trafiłem na zupełnie inny stosunek wykładowców do studentów. Profesorowie Sierpiński, Mazurkiewicz, Kuratowski byli to wielcy uczeni, którzy popierali ludzi uzdolnionych matematycznie. Dziekan Mazurkiewicz, gdy został zaczepiony na dziedzińcu Uniwersytetu po skończonym urzędowaniu, bez ważniactwa, jak przystało na prawdziwego uczonego, nie dał wymijającej odpowiedzi, że przyjmuje tylko w godzinach urzędowych w kolejności zapisanych u sekretarki, tylko z miejsca obiecał mi obejście przepisów o studentach pierwszego roku z racji studiów na Politechnice i przyrzekł pełne odroczenie czesnego oraz pół stypendium, tj. 60 zł/mies., na pierwszym roku. Po bardzo dobrze zdanych egzaminach sesji zimowej i letniej 1935 r. do końca studiów uniwersyteckich korzystałem już z pełnego stypendium w wysokości 120 zł/mies. i pełnego odroczenia czesnego. Były to dla jednego człowieka warunki wręcz luksusowe, lecz zostały one nieco pogorszone, gdyż około połowy uzyskanych w ten sposób pieniędzy posyłałem matce. Pełnych stypendiów było dwa na wszystkich czterech latach na całym Wydziale (matematyka, fizyka, astronomia, chemia, biologia i geografia), natomiast połówkowych było dość dużo. Drugie stypendium miał też student matematyki, ale nie ten odpowiadający opisowi S. Minorskiego, gdyż był on nie z ONR-ru, lecz z Legionu Młodych, organizacji sanacyjnej, co oczywiście było pomagającą okolicznością, jednak „pozanaukową”, aczkolwiek nie jedyną. Był to istotnie zdolny matematyk, lecz nie tej klasy co ja. Najzdolniejszy matematyk, studiujący w owym czasie na Wydziale, stypendium nie potrzebował, gdyż był zamożny i nie spieszył się z zaliczeniem lat studiów. Pozwoliło mu to już na I lub II roku studiów pisać prace, w których uzyskiwał nowe wyniki.

Studia matematyczne trwały formalnie 4 lata, faktycznie na ogół dłużej. Ja skończyłem je w ciągu 3 i pół roku w 1938 r. Na Politechnice w tym czasie studiowałem w zwolnionym tempie, zaliczając jednak – jak wspomniałem – całe pierwsza dwa lata, łącznie z 3-miesięczną praktyką fabryczną. Zapisałem się na sekcję lotniczą, zaliczając niektóre przedmioty trzeciego roku studiów. Było to nieco więcej niż tzw. umownie półdyplom, urzędowo – pierwszy egzamin dyplomowy, choć faktycznie żadnego osobnego egzaminu nie było. Przy tym nie miałem już zamiaru kończyć Politechniki, na której studia były mi potrzebne tylko do uzyskania dłuższego niż z Uniwersytetu odroczenia ze służby wojskowej, tj. do 26 roku życia, nie do 22 jak z innych uczelni. Nie unikając w zasadzie służby wojskowej nie chciałem jednak, aby przerwała mi ona studia matematyczne. W tym czasie zmieniłem znacznie kierunek specjalności: nie aerodynamika, więc i nie równania różniczkowe o pochodnych cząstkowych, lecz teoria funkcji rzeczywistych, trochę teoria funkcji analitycznych (której fragmenty były też w programie sekcji lotniczej) i szeregi trygonometryczne stały się domeną moich zainteresowań. W roku 1937 na życzenie prof. Mazurkiewicza wydrukowałem pierwszą krótką pracę, bez wyniku nowego, ale z nową metodą konstrukcji pewnego rodzaju funkcji. Robił to już m.in. Mazurkiewicz 22 lata wcześniej, ale w sposób dużo bardziej skomplikowany. W tymże roku uzyskałem pierwszy wynik nowy, trudny i znacznej wagi, który został uzupełniony w roku 1938. Miał on być pracą doktorską wykonywaną u Mazurkiewicza, a zakończenie przewodu było zaplanowana na wrzesień 1939 r.

Oczywiście sfinalizowaniu tych planów przeszkodziła wojna. Po przekładzie tej pracy na język francuski i wysłaniu jej do druku w Bulletin de la Société Mathématique de France w lecie 1939 r. Francuskie Towarzystwo Matematyczne (Soc. Math. de France) zaproponowało mi, abym się do niego zapisał, co też uczyniłem wpłacając niskie zresztą wpisowe (11 zł). Zapewne wkrótce zostałem skreślony z listy członków wobec niemożności przesyłania – w czasie wojny – równie niskiej składki. Nie wiadomo, czy gdzieś pozostał ślad tego zapisu do Soc. Math. de France. Dzieje rękopisu omawianej pracy były pechowe. Choć okupacja we Francji była dużo łagodniejsza niż w Polsce i wychodziły tam czasopisma naukowe, rękopis przeleżał całą wojnę – poza redakcją – i został wydrukowany w Bull. de la Soc. Math. de France dopiero w roku 1946. Jednakże wcześniej, w 1941 r., praca ta została wydrukowana w Moskwie, po rosyjsku, i to w poszerzonej nieco formie.

W 1937 r. zacząłem pracować jako asystent dra inż. S. Neumarka, dra inż. J. Bondera i dra P. Szymańskiego w Szkole Podchorążych Lotnictwa (grupa Techniczna) w Warszawie przy mechanice teoretycznej, wytrzymałości materiałów i matematyce, z programem nieco niższym niż na politechnikach. Posadę tę zawdzięczałem doktorowi A. Wundheilerowi, wybitnemu twórcy w geometrii różniczkowej, którego dr Neumark chciał zatrudnić jako asystenta. Wundheiler prowadził na Uniwersytecie Warszawskim ćwiczenia z mechaniki u prof. Przeborskiego, nie miał jednak wtedy szans na zatrudnienie w szkole wojskowej z powodów „personalnych”, które wprawdzie dotyczyły i dra Neumarka, ale on pracował już od dawna w Instytucie Lotnictwa i w wojsku oraz w Instytucie Aerodynamicznym Politechniki. Jednakże Neumark jak i Bonder, choć „syjoniści”, byli nie do zastąpienia jako inżynierowie, a zarazem i matematycy. Wobec tego Wundheiler polecił Neumarkowi mnie, jako swego najlepszego studenta znanego mu z ćwiczeń z mechaniki teoretycznej. Pracowałem w tej szkole aż do czasu jej ewakuacji w nieznanym kierunku we wrześniu 1939 r.

Jednocześnie w marcu 1939 r. skończyły się wszystkie odroczenia i dostałem wezwania do stawienia się 2 października 1939 r. w Szkole Podchorążych Piechoty w Zambrowie, w celu odbycia służby wojskowej.

Dnia 7 września 1939 r., gdy Niemcy zbliżali się do Warszawy, a pułk. Umiastowski przez radio wezwał mężczyzn mających kategorię wojskową A do wyjścia z Warszawy na wschód, gdzie będą wzięci do wojska, wyszedłem na wschód z Esterą Steinbok, absolwentką matematyki. W Siedlcach dowódca miejscowej jednostki wojskowej, po okazaniu wezwania do Podchorążówki, odmówił przyjęcia mnie do wojska jako nieprzeszkolonego. Wówczas jako uchodźcy udaliśmy się do Brześcia, gdzie po silnym nalocie i zbliżeniu się Niemców do Wysokiego Mazowieckiego zrozumieliśmy, że Polska wojnę na razie przegrała. Postanowiliśmy więc uciec jak najbliżej granicy radzieckiej, aby, gdy podejną Niemcy i odejdą jednostki graniczne KOP, przejść przez granicę i schronić się przed Niemcami w ZSRR.

Dnia 14 września byliśmy w Łunińcu, 60 km od granicy, ale jej przekraczanie nie było potrzebne, gdyż 18 września armia radziecka weszła do Łunińca. Wkrótce udałem się do Lwowa, gdzie czynne były wyższe uczelnie. Estera Steinbok chwilowo została w Łunińcu.

We Lwowie zostałem asystentem S. Banacha na Uniwersytecie Lwowskim, a od marca 1941 r. aspirantem (wraz z nieco młodszym od siebie mgr A. Alexiewiczem, później profesorem Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu). Z aspiranturą wiązało się też stypendium doktoranckie. Banach zgodził się przyjąć jako doktorską tę

pracę, którą przyjął jako doktorską Mazurkiewicz, ale wtedy jeszcze nie była rozstrzygnięta przez ministerstwo w Kijowie kwestia, czy Uniwersytet Lwowski będzie miał prawo nadawania stopni doktorskich (w tamtejszej terminologii – kandydackich). We Lwowie pracowało na Uniwersytecie w owym czasie wielu uchodźców, wymienię tutaj Saksa, Knastera, Marczewskiego<sup>1</sup>, Wojdysławskiego oraz mnie, także prof. Orlicza z Poznania, Boy-Żeleńskiego.

W listopadzie 1940 r. ożeniłem się z Esterą Steinbok. W tym okresie wciągnąłem się w wir pracy naukowej, byłem bardzo zajęty, redagowałem swoje prace już zrobione i przystępowałem do pisania nowych, aby ocalały w przypadku śmierci na wojnie. Zredagowane prace wysyłałem do Moskwy, Japonii, czasopism Lwowskich – te ostatnie prace później zaginęły, ale po ponownym ich napisaniu, po wojnie, zostały wydrukowane w Indiach i USA. Nowe problemy pochodziły częściowo od Banacha i Mazura (jednak nie odnosiły się one do analizy funkcjonalnej), częściowo z własnej inicjatywy. Moje obawy, że pożoga wojenna w taki czy inny sposób dotrze do Lwowa, okazały się słuszne. 30 czerwca 1941 r. Niemcy wkroczyli do Lwowa. Dalsza ucieczka na wschód była technicznie niemożliwa od pierwszego dnia wojny, tj. od 22 czerwca. Powstał też dodatkowy kłopot – należało zmienić mieszkanie, gdyż w książce meldunkowej moja żona figurowała jako Żydówka, a na razie korzystała z bardzo kruchego fałszywego dokumentu. Uczelnie oczywiście zamknięto (nawet dla Ukraińców), zresztą nie tylko nie pracowałbym na hitlerowskiej uczelni, ale nawet nie mógłbym się przyznać do wyższego wykształcenia wiedząc, że daje to pierwszeństwo w wywozie do obozu koncentracyjnego. Warunki odżywiania znacznie się pogorszyły, a dorywcze zarobki, głównie handlowe, były bardzo małe. Pogorszyło się więc po raz pierwszy moje zdrowie (gruźlica), a syn urodzony 25 sierpnia 1941 r. zmarł 27 września tegoż roku z braku należytego odżywiania. W marcu 1942 r. wróciłem do Warszawy, a w maju 1942 r. dr Stawiński skierował mnie do znajomego dyrektora technicznego fabryki Philipsa, z zatajeniem wyższego wykształcenia. Fabryka była skonfiskowana przez Niemców i dawała tzw. ausweis, chroniący częściowo przed wywózką do Niemiec. Dawała też zupełną fabryczną rano i na obiad, dość podłą, ale czasem z jakimiś ochłapami mięsa jakości gorszej niż „nur für Deutsche”. Praca tam dawała też możliwość słuchania, bez żadnego ryzyka, zabronionych pod karą śmierci (m.in. według afiszów wiszących w halach fabryki) audycji z Londynu, Moskwy, a czasem przypadkowo i z krótkofalówek partyzanckich. Przy ówczesnych środkach technicznych nie było możliwe stwierdzić, czego się słucha w słuchawkach, a skalujący aparat według falomierza służbowo musiał mieć słuchawki na uszach. Należało tylko, gdy jakiś Niemiec wchodził na salę, spokojnie zejść z podejrzanej fali, odłączyć zwykły drut o charakterze wewnętrznej anteny, a podłączyć leżący o 5 cm obok przewód falomierza. Wyrobiłem żonie Esterze bardzo mocną aryjską kennkartę na prawdziwej metryce mojej siostry, Heleny Barbary Zahorskiej, która wtedy mieszkała na terenie tzw. Rzeszy. Siostra po wojnie uznała to za bardzo ryzykowne, mogące ściągnąć wówczas śmierć na nią, jak i na całą rodzinę, u której mieszkała. Jednakowoż, wobec trudności podróży Polaków z Rzeszy do Generalnej Guberni, znalezienie dwóch bliźniaczek Zahorskich o identycznych obu imionach było mało prawdopodobne. W tym okresie pomagałem też innym Żydom, czasem nieznanym dzieciom, ale to ostatnie nie było ryzykowne. Nie udało się natomiast wykupić od granatowej policji żony wybitnego matematyka lwowskie-

<sup>1</sup> Edward Szpilrajn ukrywał się z początku pod nazwiskiem Zawadzki, później Marczewski.

go, J. Schaudera, zastrzelonego na ulicy we Lwowie<sup>2</sup>. Pani Schauderowa przyjechała wtedy ukrywać się w Warszawie, ale, jak i jej mąż, nie mogła wytrzymać stałego pobytu w mieszkaniu. Na ulicy rozpoznały ją dzieci i krzyczały „Żydówka”, nie wiedząc zapewne co robią, a wtedy zatrzymał ją granatowy policjant. Druga Żydówka ukrywana przez tę samą gospodynię, znająca Estere, zaalarmowała nas. Gospodyni ta miała dojście do jakiegoś z policjantów, a ja byłem jednym z ogniw pośrednich między tą gospodynią a panią Tarską, zbierającą pieniądze na wykup. Bezpośredniego kontaktu ze sferami policyjnymi, nawet polskimi, wolałem unikać. Policjanci jednak dwukrotnie, po zebraniu żądanej kwoty, podbijali cenę, za trzecim razem pani Schauderowej już nie było. Gestapowcy zabrali wszystkich zatrzymanych Żydów z okazji kolejnej wizytacji komisariatu, a do gestapowców ani pani Tarska ani owa gospodyni dojszcia już nie miały. Ponieważ w fabrykach niemieckich należało pracować ślamazarnie, w znacznej części godzin pracy fabrycznej pisałem dalsze prace. Chociaż prace te później zginęły w gruzach powstania, niemniej jednak ich streszczenia (w kilku egzemplarzach, dane różnym ludziom, a jedno trzymane stale przy sobie) ocalały, co pozwoliło je po wojnie odtworzyć. W latach 1942 i 1943 przebywałem po 2–3 miesiące w sanatorium – w Rudce pod Mińskiem Mazowieckim, postawionym na dobrym poziomie jak na czasy okupacji. W sanatorium tym zostało ufundowanych 12 miejsc dla pacjentów z fabryki przez jej polski personel (składkowo). Miałem znajomych partyzantów zarówno z AK (kolegę ze swej klasy maturalnej), jak i z AL (Michała Tetmajera, nieznanego mi osobiście przed wojną, spotkanego tylko raz na zebraniu towarzyskim) i zamierzałem się do nich przyłączyć. Jednak na dłuższy pobyt w warunkach partyzanckich zdrowie już mi nie pozwalało. Nastąpiło dalsze pogorszenie zdrowia, którego stan był alarmujący pod koniec 1943 r. W styczniu 1944 r. znalazłem się w szpitalu, a po operacji, w lutym, stan mój się pogorszył, a w maju był całkowicie beznadziejny. Jako pesymista „dla asekuracji” liczyłem wtedy najwyżej na miesiąc życia. Okazało się, że nieobiektywnie i że za mało pesymistycznie: lekarze bowiem liczyli wtedy, że pożyję tylko kilka dni. Ale mylili się, nastąpiła powolna poprawa, tak iż w czerwcu mogłem już chodzić bez prowadzenia. Niewątpliwie pomogło mi dożywianie przesyłane przez kuzynkę Jankę Wł. z Siedlec, ale głównie jakaś niespodziewana odporność, bo inni pacjenci „poczekalni do trupiarni”, zwłaszcza ci, którzy dostawali ze wsi i od rodzin znacznie lepsze dożywianie, pomarli wszyscy – ja pozostałem przy życiu. Przez czas okupacji salę tę opuściło dwóch żywych – jednym byłem ja, a drugim (wcześniej) był jakiś marynarz. Przejściowe pogorszenie stanu zdrowia nastąpiło później, w czasie Powstania Warszawskiego. Jednak w tym szpitalu (przy ul. Nowogrodzkiej, Szpital Dzieciątka Jezus), prawie od początku zajęty przez Niemców, warunki były znacznie lepsze niż w innych dzielnicach. Niemcy nie mordowali chorych ani nawet personelu, jak w Szpitalu Wolskim czy na Lesznie, gdzie chodzących chorych rozstrzeliwano na miejscu, a niechodzących spalono w budynku; wśród tych ostatnich był teść prof. Borsuka. Trzy tygodnie po powstaniu Rada Główna Opiekuńcza szpital ten oraz chorych, rannych z powstania i starców z innych szpitali i przytułków, ewakuowała do prowizorycznego szpitala w Domu Medyków przy ul. Grzegórzeckiej w Krakowie. Z tego nowego miejsca wypisać się wolno było tylko po wyrażeniu zgody przez gestapo. Jednak w szpitalu warty nie postawili. Skorzystałem z tej „swobody”, odszukałem matematyków krakowskich i na tajnym zebraniu oddziału Polskiego Towarzystwa Matematycznego zreferowałem im swoje prace napisane w czasie wojny. Wkrótce zostałem powiadomiony, że tajna

<sup>2</sup> Czy w Drohobyczu? Dokładnie nie wiem. Zadenuncjował go podobno student Ukrainiec.

Polska Akademia Umiejętności zorganizuje mi pomoc żywnościową. Mięso dostarczył prof. S. Turski, były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, wtedy pracownik rzeźni, po wojnie organizator i pierwszy rektor Politechniki Gdańskiej, później – Uniwersytetu Warszawskiego, przez pewien czas Dyrektor Departamentu w Ministerstwie. W styczniu 1945 r. Niemcy zamierzali pacjentów Szpitala z Grzegórzeckiej wywieźć do obozu Oświęcim-Brzezinka, ale nie zdążyli tego uczynić. Pacjentów tego szpitala, i wielu innych ludzi, uratowała błyskawiczna ofensywa radziecka, zaczęta 12 stycznia od Sandomierza. Po tej dacie zdążyli rozstrzelać tylko tych ludzi, którzy znajdowali się w więzieniu, po czym szybko uciekali przed okrzykiem. Już 18–19 stycznia Kraków był zdobyty prawie bez walk, po dalekim okrzyku. Poprawiły się warunki odżywiania i szybko poprawiło się moje zdrowie. W lutym 1945 r. stanąłem przed komisją poborową. Kapitan lekarz sprawdził, czy bandaż na żebrach nie jest fikcyjny, po czym bez rozmowy wypisał zwolnienie. Od chwili otwarcia Uniwersytetu Jagiellońskiego pracowałem na nim jako asystent. W czerwcu 1945 r. dostałem małe mieszkanie przy ul. Podwale. Dnia 11 lutego 1946 r. zakończyłem przewód doktorski z innej pracy niż przedwojenna, a ta ostatnia, znacznie uzupełniona, była podstawą habilitacji, planowanej i przygotowanej na 15 października 1947 r. Brak jednak czasu u jednego z recenzentów, prof. Mazura, spowodował opóźnienie i przesunięcie kolokwium habilitacyjnego na grudzień 1947 r. Jednocześnie Uniwersytet Jagielloński wystąpił z wnioskiem o powołanie na profesora nadzwyczajnego i zatrudnił mnie jako zastępcę profesora.

W październiku 1948 r. dostałem nominację na profesora nadzwyczajnego i przeniesienie na Uniwersytet Łódzki. Dnia 1 marca 1949 r. Helena (Estera) Zahorska urodziła córkę Elżbietę (zachowała też pierwsze imię z okupacyjnej kennkarty). W roku 1949 dostałem nagrodę Polskiego Towarzystwa Matematycznego<sup>3</sup>, jako dwunasty z matematyków polskich. Te nagrody, wtedy od roku 1946 po trzy rocznie na całą Polskę, były najwyżej cenione, nie co do kwoty, lecz co do znaczenia. Tylko dwóch matematyków dostało ją dwa razy: H. Steinhaus (za życia) i M. Biernacki (drugą pośmiertnie, ale wniosek mógł być wystawiony tylko za życia). Nagrody Ministra dostałem trzy razy, w 1948 r. (nagroda młodych, tj. do 40 lat), w 1962 r. (nagroda II stopnia za pracę naukową) i w roku 1984 za całokształt działalności, w tym w szczególności za badania naukowe i rozwój młodej kadry. Pomijam tutaj kilka nagród rektorskich w Łodzi (i jedną w Gliwicach) za pracę naukową lub dydaktyczną. W roku 1954 Rada Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Łódzkiego wystąpiła jednogłośnie o awansowanie mnie na profesora zwyczajnego, co udaremniłem, nie składając niezbędnej ankiety, gdyż uważałem, że jeszcze mi się ten awans nie należy. Zgodziłem się na awans dopiero w 1960 r., po rozwiązaniu problemu Kołmogorowa (dowód pewnej hipotezy z roku 1926, którą Kołmogorow opublikował w roku 1927 bez dowodu i bez żadnych szczegółów). Był to istotnie wynik na skalę światową. Od roku 1927 na całym świecie wielu wybitnych specjalistów z teorii szeregów trygonometrycznych próbowało bezskutecznie rozwiązać ten problem, udało mi się to w maju 1960 r., po trzech tygodniach pracy. Pewne ułatwienie w uzyskaniu tego wyniku stanowiła moja bezskuteczna praca od roku 1940, a nawet trochę wcześniej, bo od 1936 r., zaś intensywnie od 1942 r., nad inną hipotezą Łuzina. Niemal wyłącznym, a na pewno głównym, celem mego życia były badania nad hipotezą Łuzina postawioną w roku 1912. Hipoteza ta jest uogólnieniem problemu du Bois Reymonda z roku 1876, a po-

<sup>3</sup> Nagroda im. Stanisława Zaremby (red.).



dobno nawet Riemanna, a więc sprzed roku 1866. Pracowałem nad nią do reanimacji na jesieni 1980 r. Hipoteza Łuzina, też z teorii szeregów trygonometrycznych, ale jeszcze trudniejsza i starsza, miała pewne aspekty, które powodowały, że pomysły dla niej nieskuteczne okazały się skuteczne w hipotezie Kołmogorowa. W roku 1961 popieszczyłem, przed zredagowaniem czystopisu, anonsowałem w C.R. Akademii Paryskiej rozwiązanie hipotezy Łuzina, a w trzy tygodnia później, redagując czystopis i referaty na seminarium prof. Mazura w Instytucie Matematycznym PAN, zauważyłem błąd. Ponieważ anons był już wydrukowany, sprostowałem natychmiast błąd w liście do prof. A. Zygmunta, recenzenta tej noty (z C.R.) w światowym czasopiśmie bibliograficznym *Mathematical Reviews*, ale naprawić tego błędu nie potrafiłem do roku 1980 ani później.

Błąd ten psychologicznie stanowił mocne uderzenie w wiarę we własne siły i stanowił odtąd główne moje nieszczęście, przesłaniające, czy raczej wchłaniające, nawet nieszczęścia wojenne. Obiektywnie nie jest to takie złe, sam Lebesgue ogłosił w 1905 r. pracę z fałszywym wynikiem, a największy chyba matematyk XX wieku, D. Hilbert, w roku 1925 „udowodnił” hipotezę continuum – błąd zauważyli zaraz Kuratowski i von Neumann. Natomiast hipoteza Łuzina okazała się prawdziwą, co udowodnił poprawnie w 1966 r. szwedzki matematyk Lennart Carleson (młodszy ode mnie), później przez parę lat prezydent światowej Unii Matematycznej. Błąd mój tkwił więc tylko w dowodzie, jednak prawdziwość tej hipotezy nie jest moją zasługą. Bo, nie wchodząc w szczegóły, problem miał dwie możliwe odpowiedzi – tak lub nie.

W roku 1961 zostałem wytypowany przez dzielnicowy Front Jedności Narodu na radnego do Dzielnicowej Rady Narodowej (DRN) Łódź-Górna. Propozycję tę przyjąłem mając nadzieję, że będę mógł coś pomóc ludziom, bo, mimo małej ilości czasu wolnego (czas pochłaniała praca naukowa), ówczesny stan zdrowia i energii pozwalały mi na dodatkową działalność. Będąc przeciwnikiem pracy czysto frazeologicznej i uważając, że najlepszym przykładem jest konkretna praca (w tym i naukowa), uważałem pracę radnego za coś konkretnego. Okazało się to słuszne, ale w małym stopniu.

W DRN Łódź-Górna byłem radnym i członkiem Komisji Oświaty w latach 1961–1970, a członkiem Prezydium DRN od 1965 do 1970 r., tj. do czasu przeprowadzki do Gliwic, razem przez dwie kadencje. W latach 1951–1953 i 1959–1961 byłem prezesem Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Matematycznego, w latach 1975–1977 członkiem Zarządu Głównego PTM, a niemal stale delegatem na Walne Zgromadzenia PTM.

W Łodzi na Uniwersytecie zostałem odznaczony Medalem X-lecia PRL i Złotym Krzyżem Zasługi w latach 1953–1954, a w roku 1968 22 lipca (po sprostowaniu błędu w nazwisku, 17 kwietnia 1969) Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W przeniesieniu do Gliwic pomogli mi nieżyjący już ludzie: prof. M. Mochnacki i doc. dr hab. W. Sobieszek, były mój student z Uniwersytetu Łódzkiego pracujący w Gliwicach. Mimo wyleczenia, całkowicie dopiero w roku 1964, skutków wojny zdrowiu zagroziła, i to mocniej, choroba serca. Od roku 1955 lekka, głównie nerwicyowa, później i organiczna, od 1972 poważna, od 1976 ciężka, a 24 października 1980 z reanimacją. W latach 1977–1978 czyniłem starania o przeniesienie się do Białegoostoku, ze względów zdrowotnych i klimatycznych. Starania te nie kończą się sukcesem. Pozostają nadal w Gliwicach.

W roku 1966 moja córka Elżbieta skończyła III Liceum w Łodzi i wybrała kierunek studiów, którego w Łodzi nie było, a w następnym roku zdała, za moją namową, na

fizykę na Uniwersytecie Warszawskim, choć wolałaby matematykę. Uważałem fizykę za ważniejszą i ciekawszą od matematyki, nie tylko ze względów na zastosowania techniczne, choć sam jestem matematykiem. Fizyka dawałaby też większy wybór zatrudnienia po studiach. Próba studiowania jednocześnie fizyki i matematyki była zbyt czasochłonna, wreszcie córka po dwóch latach fizyki, mimo na ogół dobrych wyników, przeniosła się na matematykę, stwierdzając, że nie ma zdolności doświadczalnych, i w roku 1979 skończyła studia.

W roku 1970 rozwiodłem się, po czym ożeniłem się z Janiną Śladkowską, docentem Politechniki Śląskiej, pracującą twórczo w mało mi znanej dziedzinie funkcji analitycznych. Również ze względów rodzinnych i mieszkaniowych przenieśliśmy się do Gliwic, do pracy w Politechnice Śląskiej, mimo większego na Śląsku zadymienia i zapylenia atmosfery, szkodliwego klimatu. Janina Śladkowska-Zahorska urodziła syna. Syn Jaś gruntownie nie lubi matematyki, być może obrzydziła mu ją szkoła, a zmuszać go nikt nie chce, nigdy przymus nie spowodował zainteresowania. Ma wprawdzie dobre oceny z matematyki, ale interesuje się chemią i elektroniką.

Córka często odwiedzała mnie w Gliwicach, a po skończeniu studiów przez osiem miesięcy mieszkała u nas w Gliwicach. Następnie została zatrudniona w WSI w Radomiu. Ja miałem również propozycję przeniesienia się do Radomia ze względów klimatycznych, ale nie chciałem podjąć pospiesznej decyzji, a po zorientowaniu się w tamtejszych warunkach w 1981 r. zrezygnowałem z tej przeprowadzki. W czerwcu 1982 r., w czasie przymusowej miesięcznej nieobecności żony w Gliwicach (ja byłem wtedy w sanatorium kardiologicznym w Nałęczowie), córka zaopiekowała się Jasiem wywołując go do znajomej gospodyni pod Ciechocinkiem.

Mam publikacje w czasopismach naukowych w Polsce, Francji, Japonii, Indiach, USA, ZSRR i Czechosłowacji, jeden skrypt dla początkowych lat studiów i jeden artykuł popularny dla czytelników z wykształceniem od niepełnego podstawowego wzwyż. Artykuł popularny wypadł nie najlepiej, bo nie miałem możliwości zrobienia korekty przed publikacją, korektę zrobiła redakcja „Przekroju”, zmieniając miejscami na ... gorzej. Odliczając z publikacji naukowych bibliografię, recenzje, problemy postawione, ale nie rozwiązane przez autora i dublety (np. anons, streszczenie, a później pełny tekst) i przekłady, prac naukowych jest w tym 17, z nich jedna błędna, jedna istotnie dobrej wartości, osiem średniej jakości, pozostałe przyczynkowe.

Doktorantów mam ośmiu w Łodzi i dwóch w Gliwicach. Wybitnymi mymi uczniami są prof. zw. dr hab. Jan Lipiński, przez pewien czas dyrektor Instytutu Matematyki Uniwersytetu Gdańskiego i prof. dr hab. Tadeusz Świątkowski, który wprawdzie doktoryzował się w innej katedrze, ale najlepsze prace ma w mojej problematyce. Szkoła stworzona przez ludzi uprawiających tę problematykę wykracza poza granice Polski. Pracują w niej m.in. matematycy czescy, amerykańscy, rumuńscy, radzieccy i inni. Z polskich można wymienić docentów Filipczaka i Wilczyńskiego oraz kilku uczniów prof. Lipińskiego czy prof. Świątkowskiego.

Brałem udział w kilku międzynarodowych kongresach matematycznych, skupiających od 4 do 6 tys. matematyków różnych specjalności, organizowanych co 4 lata w różnych krajach przez matematyków kraju organizującego (wybieranego na poprzednim kongresie) i Międzynarodową Unię Matematyczną. W Sztokholmie w roku 1962 i w Moskwie w roku 1966 byłem na koszt własny, w Moskwie organizatorzy obrali mnie przewodniczącym na referatach sekcji funkcji rzeczywistych. Na Kongres w Nicei w roku 1970 byłem wytypowany z Uniwersytetu Łódzkiego przez Ministerstwo, lecz

z uwagi na „cięcia” finansowe nie mogłem w nim wziąć udziału. W kongresach 1978 r. w Helsinkach i w 1983 r. w Warszawie byłem na koszt Politechniki. W mniejszych konferencjach zagranicznych brałem udział z wygłoszeniem referatów – w Pradze w roku 1949, w Berlinie w 1960 r., w Palermo na Sycylii w 1976 r. i w Warnie (nie referat, tylko problem w czasie dyskusji) w 1967 r.

### *Podsumowanie i zakończenie tej biografii*

Oczywiście przypadek mojej fascynacji matematyką nie jest typu ambicjonalnego, bo to mogło odgrywać rolę najwyżej w początkach nauki szkolnej, kiedy zależy na ocenie – a i nawet wtedy nie wyłącznie. Ale rodzi się pytanie: czy ta fascynacja ma stanowić końskie okulary, z którymi można dobrze i nawet przyjemnie – mimo przeszkód – przeżyć życie baz ogólniejszej refleksji? Na pytania, w jakim stosunku jest matematyka do ogólnych celów ludzkości, odpowiadam w skrócie: z ludzkiego punktu widzenia najważniejszymi i najbardziej zadziwiającymi tworamii przyrody są organizmy żywe, zwłaszcza „mające duszę”, tj. widzące, słyszające, czujące ból i przyjemność, decydujące o swych ruchach, czyli zwierzęta. A z nich zwierzęta myślące, czyli ludzie. Rozwój myśli ludzkiej, nawet jeśli genetycznie jest ona jednym ze środków zdobywania warunków do życia, od chwili jej usamodzielnienia jest już ważny nie tylko w kierunkach utylitarnych, ale i bezinteresownie poznawczych. Matematyka ma w tym drugorzędną rolę, bo poznaje najbardziej zewnętrzną, formalną i banalną stronę rzeczywistości, ilościową. Fizyka z chemią, czyli właściwie też fizyka ultramikroskopowa i biologia, zwłaszcza ta z mikroskopów elektronowych, są znacznie ważniejsze, choć według chyba słusznej tezy Kanta, i one nie poznają „istoty rzeczy w sobie”. Zarówno materialści, jak i większość filozofów wierzących, uważają, że matematyka i każda nauka, nawet logika, powstała wskutek obserwacji świata i w jakimś stopniu go poznaje. Ale gdyby nawet uznać, że matematyka jest absolutną abstrakcją, „czystym tworem wolnego ducha ludzkiego”, to i wtedy byłaby jakoś związana z rzeczywistością, bo umysł ludzki jest częścią rzeczywistości. Lecz matematyka to jałowa część rzeczywistości, choć wcale nie „zimna” czy „sucha”, jak mówią ludzie ślepi na urok matematyki. Wobec tego cenię matematykę głównie od strony artystycznej, jako sztukę dla sztuki. Jest to hasło mylnie sformułowane, bo każda sztuka jest dla ludzi. Muzyka poważna (chyba bez treści umoralniającej czy społecznej) jest dla małej ilości ludzi, ale są tacy. Odbiorców sztuki matematycznej jest chyba więcej, a ilość ich będzie rosła w miarę wzrostu oświaty. Żądanie, aby sztuka była zrozumiała dla mas, jest w przypadku matematyki nonsensem, trzeba by wtedy zatrzymać matematykę na poziomie V klasy podstawówki.

Sztuka nie powinna zniżać się do poziomu mas, lecz podnosić masy do swego poziomu. Dla jakich mas ma być zrozumiała – ciemnych? Ciemne masy to nazwa z przeszłości, w przyszłości ludzi ciemnych nie będzie. „Chodzi o to, aby podnieść ludzi na wyżyny filozofii” – zdanie chyba Marksa. Uważam, że nauki podstawowe dla samego poznania świata, będącego jednym z głównych celów ludzkości (wbrew zdaniu S. Staszica, uważającego naukę za luksus), nie są celem wyłącznym. Równie ważne są zastosowania, ale nie do produkcji igieł czy samochodów, choć i to potrzebne. Są to badania:

1. w medycynie, przedłużenie przeciętnego wieku ludzi choćby tylko do 150 lat z najwyżej 5 latami starości, a w przyszłości może nieograniczenie;
2. zwiększenie produkcji środków żywności dla już przeludnionego świata;
3. wynalezienie silników bezspalinowych, odtrucie wody, gleby i atmosfery, nowe źródła energii, bo i uranu na świecie mało;
4. stworzenie na innych planetach warunków atmosferycznych i termicznych do kolonizacji miliardami ludzi, którzy zamieszkają tam stale, poza tym, co łatwiejsze, wynalezienie skutecznych, nieszkodliwych, wygodnych i tanich w masowej produkcji środków antykoncepcyjnych.

Inaczej nieuchronnie stoczmy się do automatycznej regulacji przeludnienia poprzez głód, zatrucie spalinami i ściekami lub wojnę nuklearną. Czyli dalsze istnienie ludzkości zależy od nauki stosowanej. Co do zastosowań przeciw ludziom – to nie jest winą uczonych, że ich odkrycia zostały wykorzystane do zbrodniczych celów. Mimo to bomba atomowa miała na celu rzecz tak słuszną, jak walka z ludobójcami hitlerowskimi. W tej sprawie mogę na szczęście oburzyć podpisać się pod słowami wielkiego matematyka angielskiego, G.H. Hardy’ego: „Cieszę się, że żadne z moich odkryć nie przydaje się do produkcji maszyn do zabijania ludzi i ujarzmiania narodów”. Bo w ogóle nie mam prac z matematyki stosowanej, choćby do celów pokojowych. Pośrednio może znajdują zastosowanie w pracy inżynierów wiadomości z moich elementarnych wykładów z analizy, natomiast wykłady monograficzne nie były stosowane. Nie jestem specjalistą żadnego z działów zastosowań matematyki. Uważam, że takich specjalistów w ogóle poza Wrocławiem i Warszawą jest w Polsce mało. Pracę dydaktyczną traktuję drugorzędnie, głównie jako zarobkową. Wprawdzie są instytuty pracy czysto naukowej, jednak mogą one ulec redukcji, np. ze względów oszczędnościowych, a co ważniejsze, choć instytuty takie nie narzucają tematów, jednak wymagają osiągnięć. Jednak podzielam zdanie prof. A. Alexiewicza: „gdyby nawet wolno było wcale nie wyklądać, to bym wziął choć dwie godziny tygodniowo wykładu dla kontaktu z ludźmi i młodzieżą w szczególności”. Podzielam zdanie większości fachowców, że bez pracy naukowej nie można dobrze wyklądać matematyki wyższej. Nie pomoże tu ani tzw. wrodzony talent dydaktyczny – choć się zdarza – ani wieloletnia rutyna, ani stopnie naukowe z dydaktyki ogólnej. Nienaukowiec łatwo popada w błędy, nawet starannie przygotowując wykłady, i wtedy jego talent dydaktyczny czy wiedza z dydaktycznej habilitacji działają na szkodę, gdyż tym skuteczniej i bardziej przekonująco psychologicznie nauczy błędów. W rezultacie, drugorzędnie traktowany (ale jednak solidnie) wykład naukowca jest dużo lepszy od rutynowego wykładu różnego rodzaju wykładowców powtarzających utarte myśli. Do większości wykładów nie przygotowywałem się – i to właśnie dobrze. Wykład bez pamiętania szczegółów, ale przy znajomości metody – improwizowany – pokazuje, jak się robi matematykę, a nie tylko opowiada, co w niej jest. Naukowiec z własnego doświadczenia rozumie metodę i myśl przewodnią, pokazuje, jak do niej dorobić szczegóły. Tego nigdy nie robi rutyniarz. Do trudniejszych wykładów jednak przygotować się trzeba, zawierają one bowiem też sporo materiału pamięciowego, a tego nie można szybko zrekonstruować na wykładzie, można bowiem zastanawiać się przed tablicą pięć sekund, natomiast nic nie powiedzieć przez pół godziny byłoby stratą czasu, zwłaszcza przy błędnej opinii początkujących studentów (za co winę ponosi szkoła), że nauczyciel rzekomo wie wszystko. Praca na uczelniach zawiera też część administracyjną, której zawsze nie znośiłem. Dziwne kwestionariusze z często niezrozumiałymi pytaniami o rzeczy,

których nie ma, wypełnione siłą rzeczy „z sufitu”, planowania, sprawozdania, a między nimi – krótki czas na produkcję naukową, kłopotliwe i czasochłonne stanowiska kierownicze, których unikałem. Moim zdaniem naukowiec nie powinien mieć nawet śladu żądzdy władzy, jednej z najgorszych i najszkodliwszych cech ludzkich. Niektórzy uważają, że ma ją każdy: „kto nie rządzi w domu, ten rządzi w miejscu pracy, a kto nie rządzi w miejscu pracy, jest tyranem domowym”. Jest to nieprawda, bo despotą jest niezośny i w domu i w pracy, a naukowiec despotą być nie potrzebuje, nie musi on bowiem rządzić ani w domu, ani w pracy, wystarcza mu aż nadto władza nad problemami, które rozwiązuje, a ten typ władzy jest dla ludzi nieszkodliwy, i nad umysłami przyszłych czytelników jego prac.

Moim zdaniem matematyka powinna mieć, i na pewnym poziomie rzeczywiście ma, implikacje etyczne. Człowiek umiejący myśleć powinien też umieć wybrać dobro. Niezależnie od nazw rzekomo je dyskwalifikujących – czy nazwać to współczuciem, czy instynktem stadnym. Jasne, że słuszna nie jest głoszona przez Nietzschego etyka silnych – w gruncie rzeczy pochwała ludobójstwa, lecz właśnie etyka słabych. Wolnomyślicielski humanitaryzm, chrześcijańska miłość bliźniego czy też humanitaryzm socjalistyczny, a nie nienawiść.

Wreszcie całkowicie potwierdzam – przeczytane w jakiejś pracy prof. A. Wakulicza – słowa wielkiego algebraisty niemieckiego, Kroneckera: „matematyka uczy skromności”. O tym wie każdy twórczy matematyk, który zmagiał się godzinami i latami z kolosalnie trudnymi problemami, przerastającymi często mniej czy bardziej utalentowany umysł. Wobec trudności jesteś niczym. Tego można się dowiedzieć walcząc tam, „gdzie twardym murem trudny problem stał”.

Moje osiągnięcia naukowe zostały uzyskane przy pokonywaniu wielu przeciwności losu, zarówno bezosobowych, jak nędza, choroby, wojna, jak i spowodowanych przez konkretnych ludzi. Przeciwności te – dodatkowe, poza trudnością samych problemów – ujawniam chętnie, nie dla zyskania współczucia, którego nie chcę i nie potrzebuję, lecz ze słusznej dumy: trzy metry w skoku o tyczce to daleko do rekordu przekraczającego 5,5 metra, ale trzy metry z plecakiem zawierającym 25 kg cegieł, to super rekord. Choć w ogóle traktuję te sprawy nie w kategoriach pychy czy skromności, stosując m.in. zasadę „lepiej się nie doceniać niż przeceniać”, tzw. pesymizm asekuracyjny (nie asekurancki).

Po reanimacji w roku 1980 odłożyłem na czas bliżej nieoznaczony szukanie poprawnego, i prostszego, dowodu twierdzenia Carlesona. Zająłem się natomiast dla rozrywki dużo starszym problemem, w myśl zasady: próbować każdemu wolno. Stwierdzam natomiast, że nadzieja rozwiązania tego problemu jest prawie żadna – w tym przypadku byłoby to grube przecenianie swoich możliwości, nawet przy uwzględnieniu maksymy „mierz siły na zamiary”. Zdolności maleją przecież z wiekiem, a biorąc pod uwagę stan zdrowia i ilość lat czy tygodni stojących do dyspozycji, szans nie ma wcale. To też nie ujawniam tego problemu. Ujawnię, jeśli cudem, jak ślepej kurze ziarno, uda mi się zagadnienie rozwiązać.

### *Postowie (od redakcji)*

W roku 1987 Uniwersytet Łódzki nadał Profesorowi Zygmuntowi Zahorskiemu tytuł doktora honoris causa. Walne Zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Matematycznego uchwałą z dnia 3 IX 1993 r. nadało profesorowi Zygmuntowi Zahorskiemu godność członka honorowego za wybitne osiągnięcia wzbogacające matematykę.

Do emerytury, na którą przeszedł w 1984 roku, Profesor pracował w Instytucie Matematyki Politechniki Śląskiej. Profesor zmarł, po ciężkiej chorobie, 8 maja 1998 roku w Gliwicach, gdzie został pochowany.



Janina Śladkowska-Zahorska and Zygmunt Zahorski